

„Nie należy wymagać, żeby wszyscy byli identyczni”

W swojej najnowszej książce „Identity: The Demand for Dignity and the Politics of Resentment” („Tożsamość: potrzeba godności i polityka urazy”), politolog i filozof polityki Francis Fukuyama analizuje zaskakujące podobieństwa pomiędzy tak odmiennymi ugrupowaniami, jak Black Lives Matter i białymi nacjonalistami.

Zdaniem naukowca, oba stanowią „poważne zagrożenie dla nowoczesnej, liberalnej demokracji”. Rozmowę z Fukuyamą przeprowadził Andrew Coyne, kanadyjski dziennikarz, komentator „National Post” i telewizji CBC (publikacja: 09.2018).

Andrew Coyne: Główna teza twojej książki mówi, że polityka tożsamości lewicy, populistyczny nacjonalizm prawicy, islamizm i nawet prezydent Trump we własnej osobie, kierują się potrzebą godności, uznania i szacunku. Dlaczego wszyscy muszą być aktywni w tym samym czasie?

Francis Fukuyama: Myślę, że te ruchy są konsekwencją rozwoju gospodarczego i globalizacji. Ten neoliberalny okres wzmożonego przepływu dóbr, usług, handlu i inwestycji przynosi korzyści niewielu osobom, kosztem znacznie większej grupy ludzi. Nie chodzi tu jedynie o deindustrializację i poszukiwanie zagranicznej siły roboczej – do Europy i Stanów Zjednoczonych przyjeżdżają całe rzesze ludzi urodzonych poza ich granicami. Poczucie zagrożenia spowodowane zmianami ekonomicznymi oraz gwałtowne zmiany kulturowe rodzą potrzebę bycia dostrzeżonym, która została podchwycona przez populistycznych polityków.

Niektórzy, jak prezydent Trump, patrzą pod kątem opłacalności pewnych działań, ale to nie takie proste, prawda?

Polityka tożsamości narodziła się na lewicy. W latach 60.

powstały wielkie ruchy społeczne, definiowane przez rasę, płeć, preferencje seksualne, które domagały się równości społecznej, ponieważ czuły się zmarginalizowane i miały ku temu powody. Program lewicy głównego nurtu, jakim była ogromna klasa robotnicza, zaczął przemieszczać się w stronę roszczeń mniejszości. Myślę, że z czasem przeobrażenie lewicy wywołało reakcję prawicy, której biali członkowie obecnie mówią: „Tak naprawdę to my jesteśmy uciskaną mniejszością, niewidzialną dla elit, o której wszyscy zapomnieli”.

Jak wielkie znaczenie ma prezydent Trump w procesie polaryzacji amerykańskiej polityki?

Trump poniekąd wzmocnił polaryzację, ale nawet bez jego pomysłów mielibyśmy problem, który będzie się ciągnął również po jego odejściu, mam nadzieję dość rychłym.

Z ostrożnością przyznajesz, że pretensje wielu zwolenników Trumpa są uzasadnione.

To, co spotkało białą klasę robotniczą, to nic innego jak społeczna katastrofa. Niejedna wiejska społeczność cierpi na epidemię [używania] opiatów. Najnowsze dane mówią, że w ubiegłym roku zabiły one 72 tysiące Amerykanów. Kryzys widoczny jest w liczbie samotnych rodziców i dzieci, żyjących w skrajnej biedzie. Myślę, że przed wyborami w 2016 r. ten problem w ogóle nie był dostrzegany. W trakcie prawyborów przeprowadzonych w New Hampshire, stanie zamieszkanym prawie całkowicie przez białych mieszkańców, okazało się, że głównym problemem społecznym jest uzależnienie od heroiny. Do tego czasu w ogóle nie poruszano tematu dramatu amerykańskiej klasy robotniczej.

Twierdzisz, że zanim zmierzymy się z negatywnymi aspektami lewicowej polityki tożsamości, musimy uznać zasadność roszczeń zmarginalizowanych grup społecznych.

To nie ulega wątpliwości. Organizację Black Lives Matter oraz #Metoo zbudowano na fundamencie faktycznych nadużyć, którym

trzeba zadośćuczynić.

Polityka tożsamości może prowadzić do podziałów na przekór tradycyjnym wartościom, takim jak powszechność praw człowieka jako jednostki w roli komórki społecznej.

Tak. Oto konkretny przykład: Martin Luther King powiedział: "Czarni ludzie są tacy sami jak biali. Chcemy tych samych praw. Nie chcemy niczego wyjątkowego. Chcemy jedynie być traktowani tak, jak należy traktować Amerykanów". Jednak pewne frakcje ruchu black power ewoluowały i teraz rozumują w następujący sposób: "Nie. Czarni ludzie wcale nie są tacy jak biali. Mamy własną kulturę i własne wartości. Mamy odrębny styl życia. Domagamy się, by to szanować". Podobne podejście przejawiają inne grupy. Problem polega na tym, że definiują one swoją odrębność w oparciu o aspekty biologiczne, cechy wrodzone, na które nie ma się wpływu – jak na przykład religia, w której jest się wychowanym. W pewnym sensie cofa nas to do tradycjonalistycznego pomysłu, że różnimy się od siebie w sposób fundamentalny.

Wydaje się, że w polityce tożsamości między tymi dwoma podejściami istnieje duże napięcie. Z jednej strony mamy dużą potrzebę integracji w jakąś większą całość. Z drugiej, nacisk na odrębność, niemal na separatyzm.

Uważam, że w społeczeństwie liberalnym nie należy wymagać, by wszyscy byli identyczni. Jednak są pewne odmiany wielokulturowości, gdzie odrębność zaczyna stanowić pewne wyzwanie dla głęboko liberalnych wartości. Za typowy przejaw tego zjawiska można uznać muzułmańską rodzinę, w której córka pragnie poślubić osobę, którą sama wybierze, a rodzina postanawia wysłać ją z powrotem do Maroka lub Pakistanu, żeby wzięła udział w zaaranżowanym małżeństwie. Widać tu wyraźny konflikt pomiędzy wartościami kulturowymi społeczności imigranckich, a fundamentalną zasadą, wedle której każdy, wliczając w to kobiety, ma prawo sam zdecydować, kogo chce poślubić. W tym przypadku uważam, że nakaz poszanowania

wartości poszczególnych społeczności, a nie jednostki mieszkającej w liberalnym społeczeństwie, jest złą interpretacją liberalizmu.

Uderza mnie, jak często to, co nazywamy "różnorodnością", polega w rzeczywistości na podkreślaniu podobieństw między jednostkami wewnątrz grupy, na konformizmie.

To kolejny problem z pewnymi interpretacjami polityki tożsamości, które mówią, że grupa, w której się urodziłeś, determinuje to, co myślisz o polityce, kulturze i wielu innych sprawach. To pewne nieporozumienie. Ludzie są w rzeczywistości zdolni wznieść się wyżej niż ich nadana tożsamość i [potrafią] myśleć niezależnie.

Kiedy podkreśla się różnice między ludźmi, nie da się uniknąć tworzenia stereotypów i fałszywych archetypów.

Zgadza się. Za przykład może posłużyć pogląd, że istnieje coś takiego, jak "przywileje białych". Kiedy przyjrzesz się temu, co dzieje się w Stanach Zjednoczonych, aż trudno uwierzyć, jak wielka może być różnica w poziomie życia między wykształconymi białymi i tymi z klasy pracującej. Przez ostatnich 30 lat ich losy potoczyły się zupełnie inaczej.

Jesteś dość krytyczny względem lewicy z powodu jej skupienia się głównie na coraz mniejszych grupach społecznych, zamiast walki o interesy ubogich i niższych warstw społeczeństwa.

Łatwiej jest dyskutować na tematy związane z tożsamością, niż zrobić coś konkretnego dla poprawy sytuacji całych zmarginalizowanych grup. Moim zdaniem w Stanach Zjednoczonych (w odróżnieniu od Kanady) już dawno przestaliśmy na poważnie myśleć o polityce społecznej. O wiele łatwiej, na przykład, jest walczyć o finansowanie etnicznych wydziałów na uniwersytetach niż zastanawiać się, jak poprawić konkretną sytuację socjoekonomiczną danej grupy jako całości.

Porozmawiajmy o sposobach wyjścia z tego impasu. Kładziesz

duży nacisk na możliwość odbudowania narodowej tożsamości, odnosisz się jednak do konkretnego jej rodzaju, nazywanego przez nas nacjonalizmem obywatelskim – w odróżnieniu od nacjonalizmu kulturowego.

Zgadza się. W Europie jest wiele krajów, które definiują swoją tożsamość w oparciu o kwestie etniczne. Uważam, że to błędne podejście w społeczeństwie multikulturowym. Potrzeba w nim tożsamości opartej na wartościach politycznych, a nie etnicznych, czy religijnych. W USA jest to wiara w konstytucję, w literę prawa, w zasadę równości między ludźmi. Potrzeba nam obywatelskiego zrozumienia nacjonalizmu.

Mówisz, że potrzeba jeszcze czegoś. Czego dokładnie?

Myślę, że im bardziej intensywna jest dana kultura, tym mocniej ogranicza mieszkańców. Uważam, że należy kultywować również inne wartości, takie jak obowiązki obywatelskie. Jestem zwolennikiem powszechnej służby wojskowej, dzięki której obywatel demokratycznego społeczeństwa nie tylko posiada pewne prawa i dostaje przywileje od rządu, ale również coś z siebie daje.

Jak udaje ci się kultywowanie tej odmiany nacjonalizmu i jednocześnie unikanie wyłączenia innych kultur w dobie problemów o charakterze globalnym?

Współpraca międzynarodowa musi być oparta o narody. Naród nadal stanowi o odrębności danej grupy, do której nie należą narodowe podgrupy lub organizacje ponadpaństwowe. Może używać siły, by egzekwować prawo i chronić obywateli. Musimy się tego trzymać. Nie oznacza to jednak, że narody nie mogą dobrowolnie ze sobą współpracować. Gospodarka światowa nie mogłaby funkcjonować bez warstwy międzynarodowych porozumień i wspólnych organizacji. Uważam, że nie należy rezygnować z ważnych aspektów suwerenności po to, żeby rozwiązywać problemy, które są skutkiem globalizacji.

Pozwolę sobie zakończyć obowiązkowym pytaniem. Dlaczego

uważasz Kanadę za wyjątek w kontekście omawianych trendów kulturowych? Mieliśmy tu do czynienia z polityką tożsamości, chociaż nie doświadczyliśmy populistycznego nacjonalizmu w większej skali.

Miałem nadzieję, że do tego dojdziemy. Odpowiedź na to pytanie leży w dużej mierze w waszym podejściu do imigracji. Wasza polityka w tym zakresie opiera się na umiejętnościach i daleko wam do skali nielegalnej imigracji obecnej w USA. Myślę, że część sprzeciwu wobec imigracji oparta jest na ksenofobii, rasizmie itd., ale większa jego część spowodowana jest poczuciem, że imigracja wymknęła się spod kontroli, a my nie panujemy nad własnymi granicami. W Kanadzie nie widać tego tak wyraźnie.

Francis Fukuyama (ur. 1952) – jeden z najbardziej znanych i najczęściej cytowanych politologów i filozofów polityki. Doktorat z nauk politycznych obronił na Uniwersytecie Harvarda. Wcześniej studiował literaturę porównawczą. Obecnie pracuje na Uniwersytecie Stanforda. Jest uznawany za twórcę intelektualnych podstaw neokonserwatyzmu, choć dziś się od niego dystansuje. Jego najbardziej znaną koncepcją pozostaje idea końca historii. Zgodnie z nią, po upadku komunizmu w Europie i upadku ZSRR demokracja liberalna staje się dominującą formą rządów i stanowi szczytowe osiągnięcie rozwoju społeczeństw i kultury Zachodu. „To, czego możemy być świadkami, to nie tylko koniec zimnej wojny lub upływ określonego okresu powojennej historii, ale koniec historii jako takiej ... To znaczy punkt końcowy ideologicznej ewolucji ludzkości i uniwersalizacji zachodniej liberalnej demokracji jako ostatecznej formy ludzkiego rządu” – pisał. Uczony poparł prezydenturę Baracka Obamy i sprzeciwiał się interwencji wojsk amerykańskich w Iraku. Jego myśl zwykle przeciwstawia się poglądom Huntingtona (kolegi Fukuyamy z czasów studiów na Harvardzie).

Tłumaczenie Borsuk. Źródło: nationalpost.com

Co drugi uchodźca ma pracę? Nieuzasadniony optymizm

Austriacki Urząd Pracy (AMS) ogłosił sukces. Austriacka Agencja Prasowa i największe dzienniki podały informację, że co drugi uchodźca z 2015 roku ma pracę. Okazało się jednak, że optymizm ten jest nieuzasadniony, a informacje przekazywane przez dziennikarzy są albo niepełne, albo zupełnie mylne.

Informacja o tym, że „44 procent uchodźców przybyłych do Austrii w 2015 roku ma pracę” bardzo szybko obiegnęła rozmaite media. Podawały ją m.in. serwisy informacyjne „Der Standard”, „Kurier”, a nawet Austriacka Agencja Prasowa. Niewielu podjęło wysiłek, żeby słowa urzędnika skonfrontować z rzeczywistością, zapytać o metodologię i sposób wyliczenia zaprezentowanych danych.

Tymczasem urząd nie badał i nie bada grupy uchodźców, którzy przybyli do Austrii w 2015 roku. Dane natomiast mówią o tych, którzy w 2015 roku otrzymali azyl lub ochronę uzupełniającą i którzy z tego tytułu byli uprawnieni do podjęcia pracy. Grupa ta wcale nie pokrywa się z grupą osób przybyłych do Austrii razem z falą migracyjną, która swoje apogeum osiągnęła jesienią; ci bowiem najczęściej oficjalnie rejestrowani byli przez austriackie władze dopiero w 2016 roku. Cała procedura trwała dłużej niż do grudnia 2015 roku, gdyż ponad połowa z 90 tysięcy osób ubiegających się o azyl przybyła nad Dunaj w ciągu ostatnich czterech miesięcy 2015 roku. Urzędnicy nie nadążali więc z rozpatrywaniem wniosków. Ówczesny minister spraw wewnętrznych Wolfgang Sobotka poinformował oficjalnie

parlament, że procedura rozpatrywania wniosków o ochronę zastępczą w pierwszej instancji trwała ponad osiem miesięcy. Wobec tego sytuację na rynku pracy uchodźców przybyłych do Austrii w 2015 roku pokazują dane z 2016 roku, choć i tutaj należy liczby te interpretować ostrożnie. Austriacki Urząd Pracy, próbując określić skalę problemu zatrudnienia azylantów na potrzeby badań, utworzył trzy grupy kontrolne o tej samej liczbie osób. Pierwsza obejmuje imigrantów wyodrębnionych na podstawie dwóch kryteriów, a mianowicie przyznanie azylu lub ochrony uzupełniającej między styczniem a grudniem 2015 roku oraz zarejestrowanie jako osoba bezrobotna i odbycie szkolenia w urzędzie pracy między styczniem 2015 roku a czerwcem 2016 roku. Z tej grupy pracuje 44,1 procent.

Pozostałe grupy kontrolne dotyczą lat 2016 (grupa II) i 2017 (grupa III). I tak w grupie drugiej pracuje 39,8 procent tych, którzy uzyskali oficjalnie zarówno status uchodźcy, jak i status bezrobotnego, zaś w trzeciej 35,2 procent.

Innymi słowy, z publikowanych oficjalnie przez austriackie służby zatrudnienia raportów nie sposób wywnioskować, ilu realnie z tych, którzy przybyli do Austrii jako uchodźcy w 2015 roku, ma pracę.

Piotr Ślusarczyk na podst. addendum.org

Integracja: sposób na likwidację niechęci do muzułmanów

Amerykańscy badacze zastanawiali się, jak zlikwidować konflikty między imigrantami a ludnością miejscową i wymyślili

eksperyment społeczny, który przeprowadzili w Niemczech.

Wiadomo, pisze trzech badaczy w opublikowanym pod koniec lipca [artykule](#), że mamy wrodzoną tendencję do czynienia rozróżnień między „nami” a „nimi”, dzielenia ludzi na grupę, do której sami należymy i grupę, która jest obca. Ale na czym polega ten podział w dzisiejszym wielokulturowym świecie i jak można go osłabiać, zapobiegając konfliktom? Czy zależy on od etnicznego pochodzenia imigrantów, a może od ich religii? Badacze wymyślili sprytny eksperyment społeczny, który przeprowadzili w 2018 roku w Niemczech (bo tam jest spory odsetek imigrantów) ponad 1600 razy.

Hipoteza, którą chcieli w eksperymencie sprawdzić, brzmiała mniej więcej tak: postrzeganie, że imigranci wyznają te same wartości, będzie prowadziło do uznania ich za „swoich”, osłabiając obcość, wynikającą z ich pochodzenia etnicznego i religii. Eksperyment z udziałem dwojga współpracowników przeprowadzano na stacjach kolejowych w różnych częściach Niemiec.

W pierwszej części eksperymentu mężczyzna rzucał na ziemię kubek po napoju, naruszając tym powszechną w Niemczech zasadę, że nie wolno śmiecić. Współpracownica eksperymentatora albo nie zwracała na to uwagi (czyli nie uznawała wartości nieśmiecenia), albo zwracała mężczyźnie uwagę, że powinien kubek podnieść, czyli pokazywała innym pasażerom, że uznaje te same co oni, niemieckie wartości.

Zamiast potępiać „islamofobię” i rasizm, państwo, media i szkoły powinny skupić się na integracji kulturowej muzułmanów. Współpracownica wyglądała na imigrantkę (ciemna skóra i włosy) i w jednym wariantcie eksperymentu ubrana była normalnie, w innym – nosiła chustę, sygnalizując, że jest muzułmanką. W drugiej części eksperymentu kobieta wdawała się w rozmowę przez komórkę – albo po niemiecku, albo w obcym języku, a w tym momencie z niesionej przez nią torby rozsypywały się na peron pomarańcze. Eksperymentatorzy badali, jak często

świadkowie całego wydarzenia pomagali kobiecie pozbiierać pomarańcze – im częściej, tym bardziej uznawali ją za „swoją”.

Dla porównania identyczną procedurę zastosowano z udziałem współpracownicy wyglądającej na Niemkę (jasna skóra, blond włosy, mówi przez telefon po niemiecku). Ponieważ powtarzano eksperyment tak wiele razy, można było wyeliminować wpływ takich czynników, jak liczba czekających na peronie i ich płeć.

Wyniki są następujące (procent przypadków, kiedy pomagano w zbieraniu pomarańczy):

wyglądająca na muzułmankę, nie zwraca uwagi mężczyźni	60%
wyglądająca na muzułmankę, zwraca uwagę mężczyźni	73%
nie wygląda na muzułmankę, średnio	76%
wygląda na Niemkę, średnio	78%
wygląda na Niemkę, nie zwraca uwagi mężczyźni	73%
wygląda na Niemkę, zwraca uwagę mężczyźni	84%

Wyniki były dla badaczy nieco zaskakujące. Okazało się, że praktycznie identycznie traktowane były zarówno rodowita Niemka, jak i imigrantka nie nosząca chusty – różnica dwóch punktów procentowych (78% i 76% to średnie z sytuacji ze zwracaniem uwagi i niezwracaniem) jest statystycznie nieistotna, czyli prawdopodobnie jest przypadkowa. Można by powiedzieć, że świadkowie uznawali imigrantkę za należącą do „nich”, jeśli różniła się tylko kolorem skóry, a nie religią.

Natomiast wyraźnie mniej chętnie (60%) pomagano kobiecie, która wyglądała na religijną muzułmankę i nie zwracała uwagi na naruszenie obowiązującej normy. Jednakże, kiedy kobieta wyglądająca na muzułmankę zwraca uwagę na śmiecenie, czyli uznaje niemieckie wartości, chęć pomocy gwałtownie wzrasta – do 73%. Nie jest jednak tak wysoka, jak w przypadku niereligijnej imigrantki. Nie jest zaskakujące, że rodowitej

Niemce pomagano najczęściej – nawet jeśli nie zwracała uwagi mężczyźnie, pomagano jej tak samo chętnie, jak muzułmance zwracającej uwagę.

Wniosek z badań jest taki, że poczucie „obcości” wobec imigrantów wynika z tego, że są muzułmanami, a nie z odmiennego wyglądu czy narodowości. Ale to poczucie obcości prawie całkowicie znika, jeśli muzułmanin postrzegany jest jak osoba uznająca te same wartości, co Niemcy. Jeżeli zaś imigrant nie jest muzułmaninem, to traktowany jest identycznie jak rodowity Niemiec.

Badacze nie zwrócili uwagi na dwa fakty, które dla mnie są bardzo interesujące. Po pierwsze, w każdej z badanych sytuacji – nawet wówczas, gdy występowała religijna muzułmanka, która była kulturowo obca – w znacznej większości sytuacji (60%) znajdowali się ludzie gotowi pomóc. Po drugie, różnice w gotowości do pomagania w różnych sytuacjach były relatywnie niewielkie, nawet jeśli statystycznie istotne. Inaczej mówiąc, poczucie obcości, dzielenia ludzi na swoich i obcych, wydaje się w społeczeństwie niemieckim bardzo niewielkie, dotyczące zaledwie kilku, kilkunastu procent osób.

Ciekawe są wnioski z tych badań. Piszący o nich dziennikarze chyba nie bardzo rozumieją, co przeczytali, [gdym piszą](#): "ucząc ludzi, że imigranci dzielą wspólne człowieczeństwo z miejscowymi obywatelami, możemy działać na rzecz zmiany tej szczególnej postaci antyimigranckich emocji". Tymczasem wniosek autorów badań jest zupełnie inny – nie chodzi o żadne edukowanie na temat „wspólnego człowieczeństwa”.

„Przestrzeganie zasad może być podstawą do redukcji dyskryminacji i uprzedzeń – piszą autorzy eksperymentu. – Politycy i osoby kształtujące opinię publiczną mogą pomóc, wskazując na to, że w kwestii współdziałania grup nie należy skupiać się na różnicach w wyglądzie i religii, ale na integracji kulturowej.”

Innymi słowy – jeśli imigranci muzułmańscy będą przestrzegać norm i wartości niemieckiego społeczeństwa, poczucie obcości i niechęć wobec nich znikną. Zamiast więc potępiać „islamofobię” i rasizm, państwo, media i szkoły powinny skupić się na integracji kulturowej muzułmanów.

Grzegorz Lindenberg

Turcja i Malezja: gospodarka, zbrojenia i umma

Turcja i Malezja zacieśniają współpracę w obszarze gospodarczym, militarnym, a także „islamskiej jedności”, [informuje magazyn spraw międzynarodowych dotyczących Azji-Pacyfiku „The Diplomat”](#).

Gospodarka głupcze

Sztandarowym przykładem tej współpracy jest stambuński port lotniczy Sabihy Gökçen. To drugie co do wielkości lotnisko w Turcji, którego właścicielem i zarządcą jest malezyjski holding Malaysia Airports Holding Bhd.

Obydwa kraje muzułmańskie zacieśniły współpracę gospodarczą, podpisując umowę o wolnym handlu w 2015 roku. Umowa, jak zaznacza dr Altay Atlı w „The Diplomat”, służy głównie Malezji. Wartość eksportu z Malezji do Turcji wyniosła w 2018 roku 2,13 miliarda dolarów amerykańskich, podczas gdy w drugą stronę przepływy wyniosły 365 milionów dolarów. Turcja liczy jednak, że wspólne przedsięwzięcia w zakresie produkcji żywności hałal i islamskich finansów, a także inwestycje z Malezji pozwolą zrekompensować tę nierównowagę.

Zbrojenia głupcze

Podczas swojej trzydniowej wizyty w Turcji premier Mahathir Mohammad omawiał także z prezydentem Recepem Tayyipem Erdoganem współpracę w trzech kluczowych sektorach: lotniczym, samochodowym i maszynowym. Na ich przecięciu leży sektor zbrojeniowy, zwraca uwagę „The Diplomat”, podając przykłady udanej współpracy w tym obszarze. Uwagi dziennikarzy nie uszło, że premier Malezji, zwiedzając kompleks Tureckiego Przemysłu Lotniczego, oglądał wytwarzane lokalnie śmigłowce szturmowe i zwiadowcze, bojowe samoloty ćwiczebne oraz drony osiągające średni pułap wysokości i mogące utrzymać się w powietrzu do 48 godzin. Turcja i Malezja chcą wzmocnić swoją obronę, uniezależniając się od „zachodnich dostawców, ale także i od Rosji i Chin” pisze Atli. Wskazuje tutaj na pogarszające się relacje Turcji z Zachodem, a także na jej próby balansowania pomiędzy Rosją i Chinami.

Umma głupcze

Gdzie zatem na geopolitycznej mapie widzą siebie liderzy Turcji i Malezji, skoro nie w zbliżeniu z Zachodem, Rosją czy Chinami? Podczas wizyty padły wezwania do odbudowy jedności islamskiej ummy. Nie powinno to być zaskoczeniem, biorąc pod uwagę islamistyczne poglądy obu przywódców, którzy odrzucają porządek dominujący za sprawą świata zachodniego. Erdogan podkreślał „konieczność islamskiej jedności”, a wtórował mu Mahathir mówiąc, że „kluczową kwestią jest uwolnienie muzułmańskiej ummy od podporządkowania innym”.

Ideologicznie wiele ich łączy. Rządy każdego z nich doprowadziły do coraz większego znaczenia islamu w życiu społecznym i politycznym ich krajów. Działali także na rzecz zwiększonej obecności islamskiej perspektywy w środowisku międzynarodowym. Obaj już wcześniej posługiwali się [antyzachodnią retoryką](#), a także mieli na koncie [wypowiedzi antysemityczne](#). Ich wezwania do jedności muzułmańskiej, a także

rozpoczęcie w tym celu trilateralnej współpracy z Pakistanem, mogą być także odczytywane jako rzucenie rękawicy krajom arabskim, w szczególności Arabii Saudyjskiej. I Turcja, i Malezja potępiły mord dokonany przez Arabię Saudyjską na Dżamalu Chaszodżdżim (Chaszukdżim), saudyjskim dziennikarzu związanym z islamistycznym Bractwem Muzułmańskim.

Czy ta współpraca się powiedzie? „Trudno orzec”, odpowiada dr Atlı. Do tej pory większe plany panislamskiej współpracy spaliły na panewce, ale jego zdaniem należy obserwować tę inicjatywę, rodzącą się na nowo w świecie, w którym kończy się dominacja Zachodu.

oprac. Jan Wójcik

Rozwód – gehenna muzułmanek

Większość muzułmanów ubiegających się o islamski rozwód w Australii to kobiety. Jednak imamowie często odmawiają im udzielenia rozwodu. Przywódcy społeczności potępiają oficjalnie przemoc domową, jednak niektórzy nadal nauczają, że mężowie mogą kontrolować żony.

Reporterki ABC News opisały sytuację muzułmanek w artykule, który jest częścią cyklu na temat przemocy domowej wśród wyznawców największych religii. Przedstawiamy fragmenty.

Rozwód cywilny się nie liczy

Kiedy Noor (imię zmienione) po raz pierwszy odwiedziła Radę Imamów w Melbourne, żeby złożyć wniosek o rozwód islamski, wzięła ze sobą nagranie audio, jakie zrobiła potajemnie podczas jednego z brutalnych wybuchów swojego męża.

“To było jednej nocy, kiedy wrzeszczał na mnie przy dzieciach – powiedziała Noor, muzułmanka nosząca nikab przez całe wieloletnie małżeństwo. – Obrażał mnie słownie, trząsał drzwiami, darł prześcieradła, poniżał mnie i moją rodzinę... nagrałam to, bo myślałam, że nikt mi nie uwierzy.”

Siedząc przed grupą pięciu mężczyzn – imamów cierpliwie wyliczała lata przemocy fizycznej, psychicznej i finansowej, jakie wycierpiała z rąk męża. Często ją krytykował albo krzyczał na nią przy dzieciach, jak powiedziała ABC News, z błahych powodów – na przykład, jeśli nie smakowało mu jedzenie, jakie przygotowała.

I pobił ją, kiedy skonfrontowała się z nim na temat rosnących restrykcji finansowych w ich gospodarstwie. Przez długi czas myślała, że jego przemoc to jej wina. „Wydawało to mi się rozsądne – mówiła – ponieważ myślałam, że zrobiłam coś złego i zasłużyłam na to”. Co więcej, wielokrotnie groził jej, że weźmie sobie drugą żonę, co raniło i dręczyło Noor, nie tylko dlatego, że już mieli trudności finansowe. „Wolno mi poślubić cztery kobiety – oznajmił jej – musisz zmienić swoją zachodnią mentalność.” A teraz odmawiał jej rozwodu religijnego.

Muzułmanie w Australii mogą wziąć rozwód cywilny, ale jeśli nie uzyskają również rozwodu religijnego, to przez prawo islamskie – oraz przez swoją społeczność – są uznawani nadal za małżeństwo.

Mąż może się rozwieść, kiedy chce

Podczas gdy mąż może rozwieść się z żoną w każdej chwili i nie podając przyczyny, imamowie często nie dają kobiecie rozwodu bez uzyskania zgody męża albo dowodu na to, że ma prawo ubiegać się o unieważnienie (co w zależności od szkoły prawnej może oznaczać niewierność, szkodę fizyczną, finansową albo emocjonalną lub dysfunkcje seksualne). Teoretycznie przemoc domowa zalicza się do tej kategorii: jeśli kobieta może udowodnić, że mąż się nad nią znęcał – na przykład, przez

pokazanie zakazu sądowego lub zdjęć swoich obrażeń – imamowie Australii twierdzą, że rozwiążą małżeństwo i przekażą bez problemu stosowne dokumenty. Jednak w praktyce, zdaniem aktywistów i ofiar, wielu imamów odmawia kobietom udzielenia rozwodu. Oznacza to utrzymywanie ich w dysfunkcyjnych związkach latami.

Tak właśnie stało się z Noor. Po przekazaniu Radzie Imamów dowodów miała nadzieję, że przyjmą do wiadomości przemoc jej męża i szybko dadzą jej rozwód. Zamiast tego – mówiła – odrzucili nagranie i powiedzieli, żeby dała swojemu związkowi jeszcze jedną szansę. „Prawdę mówiąc, pomyślałam, że oni mnie nie słuchają. Chcieli, żebym wróciła do niego i spróbowała jeszcze raz ze względu na dzieci.” Kiedy zaczęła nalegać, że próbowała już tego i że podjęła decyzję, oznajmili, iż muszą usłyszeć „wersję” męża i będą w kontakcie. Rada odezwała się do Noor po pół roku. Musiała na nowo opowiedzieć swoją historię, ponieważ imamowie zapomnieli szczegółów jej sprawy.

Ostatecznie, po roku czekania, dzwonienia i modlenia się, kobieta – która przeprowadziła się do rodziców – wycofała wniosek o rozwód, pokonana i wyczerpana. „To mnie zabiło” – skomentowała. Na tym etapie nie była wcale zainteresowana rozpoczęciem nowego związku; po prostu chciała być wolna od mężczyzny, który przez wiele lat kontrolował każdy aspekt jej życia.

Łatwiej o rozwód w krajach muzułmańskich

W wielu krajach muzułmańskich, podejmowane przez kobiety kampanie, mające na celu reformę praw islamskich dotyczących małżeństwa i rozwodu stają się coraz silniejsze. W Indiach na przykład rząd ma wprowadzić nowe prawa zabraniające mężczyznom natychmiastowych rozwodów z żonami przez powiedzenie ‚talak’ – arabskiego słowa oznaczającego rozwód – trzykrotnie. ([Indie już wprowadziły to prawo](#). – red). Niektóre kraje – w tym Pakistan, Indonezja, Malezja i Maroko – zastrzegają prawo kobiet do rozwodu w standardowych kontraktach ślubnych.

Jednak w Australii, gdzie prawo islamskie, szariat, działa w cieniu oficjalnego systemu prawnego, a mężczyźni – imamowie stosują je dowolnie, prawo muzułmanek do opuszczenia małżeństwa nie zawsze jest stosowane. Co gorsza, zdaniem pracowników socjalnych i ofiar, wielu imamów ignoruje albo odrzuca problem dynamiki oraz powagi przemocy domowej. (Nie ma niestety dowodów na to, żeby muzułmanki doświadczały częściej przemocy domowej, ponieważ nigdy nie zebrano na ten temat w Australii wiarygodnych danych).

ABC News rozmawiało z kilkoma muzułmankami z Australii, które doświadczyły wielkich trudności z uzyskaniem rozwodu. Wielu z nich grożono, zostały zgwałcone albo pobite przez mężów po wszczęciu postępowania. Libańska muzułmanka mieszkająca w Melbourne powiedziała, że odeszła od męża dziewięć lat temu, ale kilkakrotnie Rada Imamów odmawiała jej udzielenia rozwodu. Tłumaczyli, że nie udało im się skontaktować z mężem dla uzyskania jego aprobaty.

Salma pracowała z australijskimi muzułmankami uciekającymi przed przemocą przez ponad dwadzieścia lat. Wypowiedziała się anonimowo z powodu obawy przed zemstą imamów – nie widziała nigdy kobiety, która dostałaby łatwo rozwód islamski „jeśli mąż nie chce się z nią rozwieść”. „Łatwiej jest dostać rozwód w niektórych krajach muzułmańskich, gdzie prawa kobiet są spisane w ustawach, niż w Australii” – komentuje Salma. Nie odbywa się to bez komplikacji i kobiety mogą mieć w związku z tym problemy, ale nie są już zależne od tego, jak dany imam w danym meczecie zinterpretuje szariat.

Zmuszanie kobiet do kontynuacji niechcianego małżeństwa jest formą znęcania się – uważa Salma – oraz pogwałceniem praw człowieka: „Dla kobiety brak absolutnego prawa opuszczenia małżeństwa jest definicją przemocy strukturalnej i musi się to zmienić”.

Australijscy imamowie twierdzą, że podjęli w ostatnich latach kroki, ułatwiające kobietom ten proces – na przykład przez

udział w programach szkoleniowych dotyczących przemocy rodzinnej oraz zatrudnianie kobiet podczas procedury rozwodowej z powodu przemocy domowej.

“Nie zmuszamy żadnej kobiety do tego, żeby wróciła do męża albo była cierpliwa – nie tędy droga” – powiedział szejik Muhammad Nawas Saleem, sekretarz Rady Imamów stanu Victoria. Jest to jedna z kilku nieformalnych rad imamów w Australii, które zatwierdzają rozwody islamskie (są to rady sunnickie, którym podlega większość australijskich muzułmanów). Jednakże śledztwo ABC ujawniło, że tylko w ciągu ostatnich kilku tygodni kilku kobietom z nakazami sądowymi, chroniącymi je przed przemocą domową, Rada Imamów nakazała powrót do niebezpiecznych związków.

„Ale przecież on cię nie bije”

Jedna z ofiar przemocy fizycznej i emocjonalnej ze strony męża, doświadczanej przez ponad dziesięć lat, złożyła wniosek o rozwód w tym roku. Według pracownicy ds. przemocy rodzinnej, pomagającej kobiecie, imamowie powiedzieli jej, że rozwód nie zostanie sfinalizowany, dopóki nie przyjdzie najpierw przedyskutować warunków razem z mężem. Zdaniem rady to, że mąż otrzymał już od sądu zakaz maltretowania, nie miało znaczenia – zaproponowali, żeby siedzieli w dwóch rogach pokoju. „Byłam zszokowana – powiedziała urzędniczka, która prosiła o zachowanie anonimowości. – Nie ma w tym poszanowania prawa.”

Na kolejnym spotkaniu imamowie mieli powiedzieć kobiecie, żeby wróciła do męża i „spróbowała jeszcze raz” przez miesiąc. „Próbowali nakłonić ją, żeby do niego wróciła. Mówili: dla dobra dzieci wróć – komentowała urzędniczka – Ale to właśnie dla dobra dzieci ona go zostawiła.”

Częścią problemu jest to, że wielu imamów uparcie uznaje przemoc domową za zjawisko wyłącznie fizyczne. W zeszłym roku Maryam, matka trójki dzieci z Melbourne spotkała się z Radą dwukrotnie. Dwaj duchowni, którzy rozpatrywali jej wniosek rozwodowy zlekceważyli znęcanie się jej męża i nalegali, żeby

do niego wróciła. Maryam odchodziła wcześniej od męża kilka razy w ciągu ostatnich lat i zdobyła wobec niego zakaz sądowy. Jej partner, który nadal nie zgadza się na rozwód, był według jej relacji, kontrolujący od początku małżeństwa. Nie mogła wydać ani grosza bez jego zgody, powstrzymywał ją przed podjęciem pracy i krytykował jej prace w domu. Sprawdzał też kilometry, jakie przejechała autem i oskarżył ją o kłamstwo na temat tego, gdzie była, jeśli licznik wskazywał więcej kilometrów, niż było to jego zdaniem stosowne.

„Powiedziałam [imamom], że jestem w tym związku maltretowana emocjonalnie, psychologicznie i finansowo. A oni na to: ‚Ale przecież on cię nie bije’. Ponieważ mnie nie bił, nie uznali tego za przemoc domową – relacjonowała Maryam. – Jestem naprawdę zła i rozczarowana, ponieważ oni powinni być przywódcami i wzorami do naśladowania, a zamiast tego pchają mnie w stronę pełnego przemocy związku i mówią mi, żebym po prostu z tym żyła.”

Kobiety nie są zdolne decydować o sobie?

Ofiary są zdania, że takie nastawienie do kobiet jako niezdolnych do podejmowania decyzji o swoim bezpieczeństwie i dobrostanie jest widoczne wśród najwyższych duchownych islamskich w Australii. Yasmin spotkała się z ówczesnym Wielkim Muftim Australii, Ibrahimem Abu Mohammedem w celu uzyskania rozwodu islamskiego. Zdaniem kobiety przemoc fizyczna, emocjonalna i werbalna ze strony męża stała się nie do zniesienia. Powiedziała muftiemu w jego biurze, że uciekła z domu małżeńskiego i była zdecydowana tam nie wracać. „Czasami był współczujący – mówiła Yasmin – ale powiedział, że dlatego, iż jestem kobietą, zachowuję się bardzo emocjonalnie i nie myślę przejrzyście. Poradził, żebym przemyślała to wszystko, zanim podejmę decyzję.”



Mufti Abu Mohammed w satyrycznym fotomontażu (źródło: http://nobullshit-islam.net/grand_mufti.html)

Ani razu podczas ich spotkań, jak twierdzi Yasmin, mufti nie skierował jej do skorzystania z pomocy dla ofiar przemocy domowej ani nie zasugerował, żeby poszła na policję. „Byłam przerażona – mówiła – że stanie się coś złego. Odejście to najbardziej niebezpieczny moment i nie wiedziałam, do czego mój eks jest zdolny. Mimo to sprawiono, że czułam się tak, jakbym podjęła złą decyzję, że nie umiałam utrzymać małżeństwa... że miałam zbyt powolny umysł.”

Po kilku tygodniach – i zgodnie z relacją Yasmin po dwóch kłótniach z muftim na temat jej praw i przywilejów islamskich – niechętnie udzielono jej rozwodu. Kontakty z nim oraz innymi imamami z zachodniego Sydney wywołały w niej lęk. „Jeśli była we mnie choć odrobina miłości do mojej religii, została mi ona zabrana z powodu tego, jak ci mężczyźni wykorzystali ją na swoją korzyść” – powiedziała.

Według prawników muftiego Ibrahima Abu Mohammeda „procedurą stosowaną przez Australian National Imams Council jest odsyłanie ofiar wskazujących na przemoc emocjonalną albo psychologiczną do psychologa, a ofiar przemocy domowej na

policję”.

Autorki: Hayley Gleeson, Julia Baird

Oprac. Veronica Franco, na podstawie: www.abc.net.au

Wojna w Syrii – przegląd sytuacji

Wojna domowa w Syrii jest skomplikowaną walką wielu stron, wywierającą wpływ na cały region i świat. Jakie zmiany zachodzą w trwającym od ośmiu lat konflikcie? Omawiamy analizę autorstwa dziennikarzy „Neue Zürcher Zeitung”.

Obecna sytuacja

Syryjski rząd, wspierany przez Rosjan, rozpoczął pod koniec kwietnia* ofensywę powietrzną i lądową na Idlib – ostatni kontrolowany przez rebeliantów region w północno-zachodniej części kraju. Zbombardowali także szpitale, szkoły i dzielnice mieszkaniowe. Według syryjskich obserwatorów armia rządowa podobno używa bomb beczkowych. W ten sam sposób Damaszek i Moskwa walczyły w przeszłości z ośrodkami rebeliantów, nie ponosząc żadnych konsekwencji za naruszenie prawa międzynarodowego.

ONZ obawia się kolejnej katastrofy humanitarnej, ponieważ sytuacja około trzech milionów cywilów, zamieszkujących obszar znajdujący się pod kontrolą buntowników, staje się coraz bardziej niebezpieczna. Setki tysięcy zostały już stamtąd wydalone. Na początku maja syryjskie siły naziemne zajęły kilka miejsc na południu obszaru kontrolowanego przez rebeliantów. Nie jest jasne, czy jest to początek jego

odzyskania,** ogłoszonego już przez Baszara al-Asada. Zajęte obszary znajdują się w strefie zdemilitaryzowanej uzgodnionej przez Rosję i Turcję w zeszłym roku. Porozumienie przewidywało, że rebelianci wycofają swoją ciężką broń, a ekstremiści opuszczą obszar.

Armia turecka utworzyła dwanaście posterunków obserwacyjnych w 15-kilometrowej strefie buforowej, aby zapewnić przestrzeganie zawieszenia broni. Jednak Turkom nie udało się powstrzymać dżihadystów z ugrupowania Hayat Tahrir al-Sham (HTS), które wyłoniło się z syryjskiego odłamu al-Kaidy, od ataków na pozycje syryjskie i rosyjską bazę wojskową Hmeimim.

Kto wciąż się liczy, kto traci znaczenie

Przez długi czas władza Asada zdawała się wisieć na włosku. W 2012 roku, zaledwie rok po rozpoczęciu rebelii, tylko stolica Damaszek i region nadbrzeżny, na który wpływ miały siły alawickie, znajdowały się pod jego kontrolą. Jednak po tym, jak siły rosyjskie wsparły Asada jesienią 2015 r., nastąpił zwrot sytuacji. Obecnie Asad jest mocniejszy niż kiedykolwiek. Jego wojsko odzyskało wiele z byłych obszarów rebelianckich, a rządowe wojska znajdują się obecnie nad Eufratem, naprzeciwko kurdyjskich Powszechnych Jednostek Obrony (YPG), które dzięki amerykańskiemu wsparciu przejęły duże części północnej Syrii.

Rebeliantom powodzi się zupełnie odwrotnie. Podczas gdy na początku cywilna część ruchu oporu była jedną z sił napędowych powstania przeciwko Assadowi, dziś z tego ruchu pozostało już niewiele. Buntownicy islamistyczni i dżihadyści kontrolują tylko kilka obszarów na północy kraju. Świat wydaje się być pogodzony z bliskim odzyskaniem przez rząd prowincji Idlib.

Uczestnicy działań na terenie Syrii

Nazwa	Sojusznik	Obecna sytuacja
Reżim syryjski	Rosja, Iran	Walczą o odzyskanie władzy, zdobywają coraz więcej obszarów
Rebelianci	Układają się częściowo z Turcją przeciwko Kurdom	Opór przeciwko Asadowi, niewiele obszarów pod kontrolą
Kurdowie	USA	Chcą własnego kraju, zdobyli obszary aż do Eufratu
ISIS	Pojedyncze plemiona sunnickie	Chcieli założenia kalifatu, ale zamiar się nie powiódł

To samo dotyczy Państwa Islamskiego (ISIS), które przez długi czas dominowało na dużych obszarach północnej i wschodniej Syrii. Jego rządy terroru sprowokowały koalicję anty-ISIS, a tym samym USA, do interwencji w Syrii. Tymczasem jednak ISIS nie odgrywa już większej roli. Jego „kalifat” został rozbity, pozostali dżihadyści schodzą do podziemia, by przygotować się do wojny partyzanckiej.

Państwa, które interweniują w wojnie w Syrii

Podczas gdy Zachód początkowo koncentrował się na zniszczeniu Państwa Islamskiego, Syria stała się teraz sceną walki geopolitycznej. Coraz częściej widać, że USA przegrały: powstanie przeciwko Asadowi zawiodło, zwyciężyły Rosja i Iran.

Jak ingerują państwa z zewnątrz

Państwo	Sojusznik w Syrii	Cele
Rosja	Reżim syryjski	Obrona własnego punktu wojskowego nad Morzem Śródziemnym, wzmocnienie obecnego rozkładu sił

Państwo	Sojusznik w Syrii	Cele
USA	Kurdowie	Wyparcie ISIS, wsparcie Izraela i Turcji jako partnera NATO
Francja	Kurdowie	Zwalczanie ISIS, zapobieganie użycia broni chemicznej
Iran	Reżim syryjski	Zapewnienie osi między Teheranem i Morzem Śródziemnym, obrona Asada
Turcja	Rebelianci	Kiedyś: obalenie Asada, dziś przede wszystkim zapobieganie powstaniu wolnego Kurdystanu.
Arabia Saudyjska	Rebelianci	Obalenie Asada i uzyskanie władzy nad finansową pomocą dla islamistycznych rebeliantów
Izrael		Zwalczanie Hezbollahu i zmniejszenie wpływów irańskich

Jednak Syria to nie tylko pogorszenie stosunków między USA a Rosją. Siły regionalne, takie jak Turcja, Iran, Izrael i Arabia Saudyjska wiedzą, że los Syrii określi, kto będzie miał w przyszłości przewagę na Bliskim Wschodzie. Wyjaśnia to również ostatnie tarcia między Izraelem a Iranem.

Przebieg frontów

Podczas gdy w pierwszych latach wojny niezliczone grupy zajmowały różne obszary, obecnie wzdłuż Eufratu pojawia się mniej lub bardziej wyraźny front. Rzeka dzieli obszary reżimu Asada od regionów, które zajmują wspierane przez amerykańców siły kurdyjskie. Grupy rebeliantów zachowały już tylko kilka obszarów pod swoją kontrolą. Mapa pokazuje również, jak dramatycznie zmienił się konflikt syryjski: patchwork, który

odzwierciedlał liczne lokalne bitwy, w dużej mierze zamienił się w regularny front. Jest to wynik wojny zastępczej, w której Rosja, USA i otaczające państwa regionu demonstrują swoją siłę.

Przyczyny wojny i możliwe zakończenie

Konflikt w Syrii rozpoczął się w marcu 2011 r. od pokojowych protestów przeciwko reżimowi prezydenta Baszara al-Asada. Przyczyny niezadowolenia ludności były podobne do tych w innych krajach Bliskiego Wschodu, gdzie w wyniku Arabskiej Wiosny doszło do buntów. Syria w tym czasie jest państwem policyjnym, a aparat bezpieczeństwa działa arbitralnie i brutalnie przeciwko przeciwnikom. W następstwie tego rosnącego niezadowolenia pojawiły się pierwsze wielkie demonstracje. Ich bezpośrednią przyczyną było torturowanie nieletnich, którzy pisali rewolucyjne slogany na ścianach domów w mieście Daraa. Demonstracje te są uważane za początek syryjskiego ruchu protestacyjnego, chociaż także on ma swoją wcześniejszą historię.

Po pierwszym buncie w Daraa protesty rozprzestrzeniły się na cały kraj po tym, jak siły bezpieczeństwa ostrzelały demonstrantów. Demonstranci zażądali dymisji Asada, a opozycjoniści chwycili za broń – po pierwsze żeby się bronić, a także, żeby wyprzeć siły reżimowe ze swojego sąsiedztwa. Powstały grupy rebeliantów, które podjęły walkę z regularną armią i przejęły kontrolę nad całymi miastami. W tej niestabilnej sytuacji z rozdartego wojną sąsiedniego Iraku przybyły grupy ekstremistyczne, takie jak późniejsze ISIS i wywołały spiralę przemocy. Konflikt coraz bardziej nabierał cech religijnych. Obecnie trudno sobie wyobrazić jego szybkie zakończenie.

Co wojna oznacza dla ludności cywilnej?

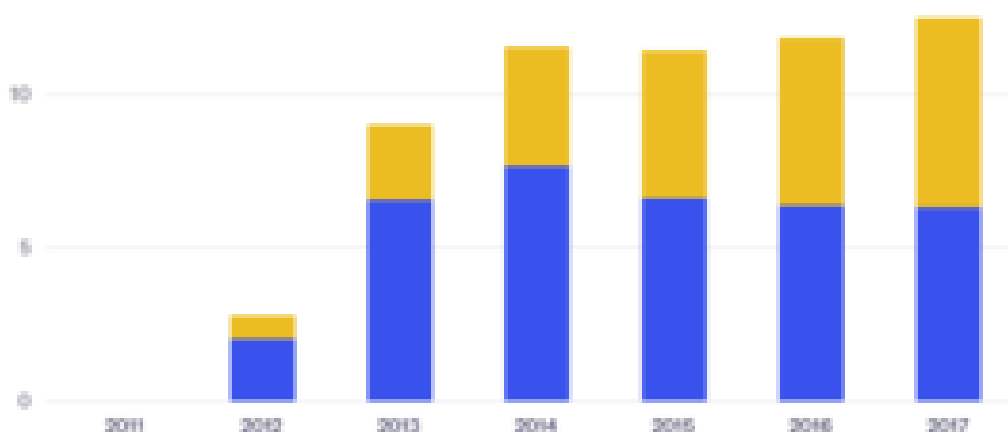
Według najnowszych danych Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR) prawie 12 milionów

Syryjczyków znajduje się w trakcie ucieczki, zarówno do miejsc na terenie Syrii, jak i poza granice kraju.

Ein ganzes Volk auf der Flucht

Entwicklung der Flüchtlingszahlen seit Ausbruch des Krieges in Syrien (in Millionen)

● Vertriebene innerhalb des Landes ● Syrische Flüchtlinge ausserhalb des Landes



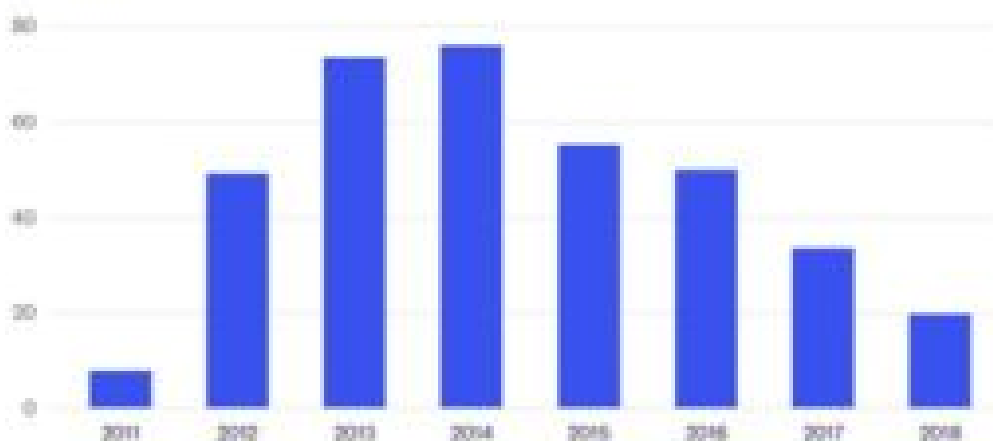
Das UNHCR definiert Menschen als Flüchtlinge, wenn sie vor Verfolgung in ihrer Heimat geflohen sind und somit einen Schutzstatus gemäss Genfer Flüchtlingskonvention zugesprochen bekommen oder wenn sie einen vergleichbaren Schutzstatus in ihrem Aufenthaltsland haben. - Quelle: [UNHCR](#) - Grafik: hmb

Cały naród w trakcie ucieczki: rozwój liczby uchodźców od wybuchu wojny w Syrii (w milionach) Niebieski – imigranci w granicach Syrii; żółty – syryjscy uchodźcy poza granicami kraju.

Liczba zabitych w wojnie jest nadal niepewna. Opozycyjne Syryjskie Obserwatorium Praw Człowieka (SOHR) szacuje, że zginęło ponad 350 000 osób. Inne źródła zakładają znacznie mniej, a czasem znacznie więcej ofiar. Niepewne dane pokazują, jak bardzo w tej wojnie ważne są także liczby i źródła informacji, i że ich interpretacja zależy od interpretującego. W ten sposób nawet na najprostsze pytania trudno jest znaleźć odpowiedź.

Zahl der Toten im Syrien-Krieg

in Tausend



Quelle: [Deutsches Institut für Fernstudien](#) – Grafik: Insa

Liczba zabitych w wojnie, wg. SOHR

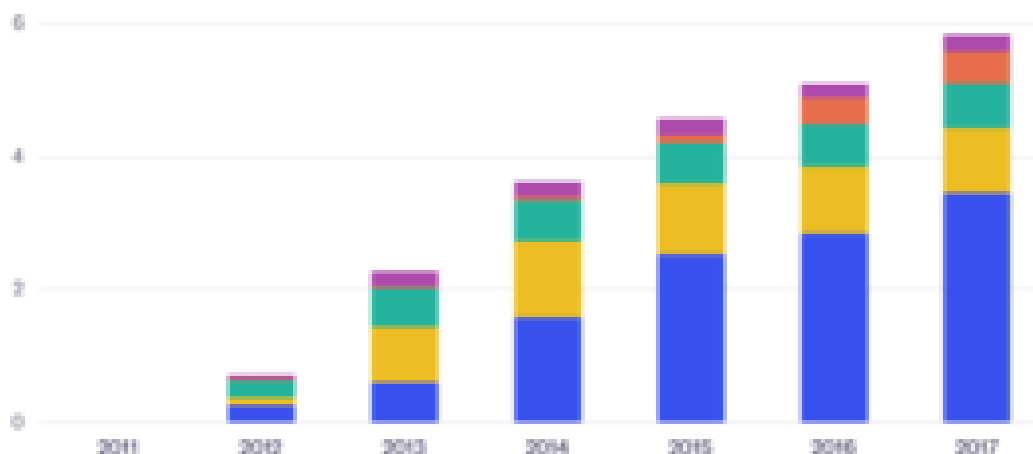
Jak działa społeczność międzynarodowa?

Turcja, Jordania i Liban ponoszą szczególnie duży ciężar przyjmowania syryjskich uchodźców. Szczególnie w przypadku Jordanii i Libanu należy to podkreślić. Oba kraje nie są bardzo bogate, a mimo to przyjęły ponad dwa miliony uchodźców – chociaż przed wojną w Syrii liczyły oba razem około 12 milionów ludzi (2011).

Die fünf Länder, die am meisten syrische Flüchtlinge aufgenommen haben

Entwicklung über die Jahre seit Beginn des Krieges (in Millionen)

● Türkei ● Libanon ● Jordanien ● Deutschland ● Irak



Quelle: [UNHCR](#) – Grafik: Insa, Insa

Pięć krajów które przyjęły najwięcej syryjskich uchodźców. Rozwój na przestrzeni lat od początku wojny (w milionach). Turcja, Liban, Jordania, Niemcy, Irak.

Niemcy odgrywają również szczególną rolę w wojnie w Syrii. Kraj ten jest jednym z pięciu, które przyjęły największą liczbę uchodźców, a także jednym z tych krajów, które zapewniły największą pomoc finansową. Co więcej, widać, że ciężar konfliktu w żaden sposób nie jest sprawiedliwie rozdzielony wśród społeczności światowej. Norwegia i Kuwejt udostępniły nieproporcjonalnie duże sumy w porównaniu do swoich PKB.

Inne ważne światowe siły polityczne i gospodarcze rzadko pojawiają się w Syrii. W szczególności Chiny nie wzięły na siebie odpowiedzialności finansowej, ani nie przyjęły uchodźców. Według ONZ zaledwie dwudziestu syryjskich uchodźców dotarło do końca 2016 roku do tego kraju, z drugą co do wielkości gospodarką na świecie.

Sytuacja informacyjna

Dla niezależnych dziennikarzy Syria jest jednym z najbardziej niebezpiecznych krajów na świecie. Obawiając się porwania lub zabicia prawie żaden zachodni dziennikarz nie ośmiela się wejść na sporne tereny. W wielu częściach kraju milicje nadal atakują dziennikarzy, żeby zapobiec przekazywaniu obiektywnych informacji poza granice kraju. Niektóre grupy utworzyły własne działy public relations. Takim źródłem dziennikarze mogą tak samo mało ufać, jak państwowej syryjskiej agencji prasowej lub firmom medialnym będącym własnością reżimu. W rezultacie raporty o działaniach wojennych, ruchach uchodźców, kryzysach humanitarnych lub atakach broni chemicznej są bardzo trudne do zweryfikowania.

Pomimo sytuacji zagrożenia w Syrii pojawiły się inicjatywy obywatelskie, rozpowszechniające informacje przez sieci społecznościowe. Nawet nastolatki opowiadają o swoim życiu w

kraju rozdartym wojną domową. Jednak takim raportom można ufać tylko w ograniczonym zakresie. W dużej mierze wiarygodnym źródłem informacji jest londyńska SOHR, cytowana również przez NZZ, która opiera się na sieci ponad 200 anonimowych informatorów pracujących w Syrii. Założyciel organizacji nie jest neutralny, przypisuje się mu związki z syryjską opozycją. Niemniej jednak informacje dostarczone przez SOHR w przeszłości okazały się w większości wiarygodne.

Na podst. <https://www.nzz.ch>

Tłumaczenie Natalia Osten-Sacken.

Oprac GPLJ.

Tabele i wykresy na podst. NZZ.

* Ostatnia aktualizacja opracowania – 13.06.2019.

** 13 lipca Idlib nadal pozostawał w rękach rebeliantów.
(red.)

Dokąd pójdą Syryjscy uchodźcy?

Grzegorz Lindenberg

Narastającą niechęć tureckiego społeczeństwa do syryjskich uchodźców wykorzystał skutecznie wybrany na burmistrza Stambułu kandydat opozycji Ekrem Imamoglu.

Kandydat opozycyjnej, Republikańskiej Partii Ludowej CHP, wygrał zdecydowanie wybory na burmistrza Stambułu 23 czerwca z kandydatem rządzącej partii islamistycznej prezydenta

Erdogana, AKP. W kampanii wyborczej Imamoglu mówił, że uchodźcy są ekonomicznym ciężarem dla Turcji i dla Stambułu. Jego partia wielokrotnie krytykowała wcześniej politykę Erdogana przyjmowania syryjskich uchodźców. Kwestia ta jest obecnie jednym z podstawowych czynników zmniejszających popularność Erdogana i jego partii – w niedawno przeprowadzonym sondażu dwie trzecie badanych było „niezadowolonych z obecności Syryjczyków w Turcji”.

Niezadowolenie to zauważył sam Erdogan, który oświadczył, że naruszający prawo Syryjczycy będą wydalani z kraju. Pogłoski o przestępczości Syryjczyków są w Turcji szeroko rozpowszechnione, ale związany z AKP Komitet Praw Człowieka twierdzi, że w rzeczywistości popełniają oni statystycznie mniej przestępstw niż Turcy, bo tylko 1,23% przestępstw w Turcji w okresie 2014-2017 popełnili syryjscy uchodźcy, stanowiący ponad 4% ludności.

Niechęć do Syryjczyków wyraża się nie tylko w mediach społecznościowych, gdzie popularność zdobywają hasztagi takie, jak „Wypieprzajcie stąd Syryjczycy”, czy „Nie chcę w moim kraju Syryjczyków”, ale czasami również w atakach fizycznych – jak po wyborach w czerwcu b.r., gdy tłum rozbijał w Stambule okna syryjskich sklepów, gdy rozeszła się pogłoska o próbie gwałtu na tureckiej dziewczynce, rzekomo popełnionej przez syryjskiego uchodźcę.

Jeśli niechęć tureckiego społeczeństwa do Syryjczyków będzie się nasilać, to dla Erdogana wyjściem będzie dyskretne zachęcenie Syryjczyków do emigracji na Zachód, czyli powtórka roku 2015

Źródłem wrogości do Syryjczyków jest pogarszająca się sytuacja gospodarcza Turcji, wysoka inflacja i rosnące bezrobocie, przekraczające obecnie 13%. Przybysze postrzegani są jako konkurujący z Turkami o pracę, ponieważ pracują głównie na czarno, za stawki poniżej wynagrodzenia minimalnego. Żeby pracować oficjalnie powinni mieć zezwolenie na pracę, ale takich zezwoleń – i pozwoleń na prowadzenie biznesu – Turcja

wydała niewiele ponad 20 tysięcy, więc około 800 tysięcy osób pracuje na czarno, w tym wiele dzieci.

Pracują nie tylko taniej, ale i znacznie dłużej niż normalni pracownicy. To zaniża zarobki oficjalnie pracujących Turków i utrudnia im znalezienie pracy. Ograniczanie zezwoleń na oficjalną pracę, które miało prawdopodobnie chronić tureckich pracowników, doprowadziło do sytuacji, której miało zapobiegać – do skutecznej, ale nielegalnej, konkurencji.

Jeśli niechęć tureckiego społeczeństwa do Syryjczyków będzie się nasilać, to dla Erdogana wyjściem będzie dyskretne zachęcenie Syryjczyków do emigracji na Zachód, czyli powtórka roku 2015

W Stambule syryjskich uchodźców jest około pół miliona, w całej Turcji około 3,5 mln. Z wyjątkiem 100 tysięcy osób przebywających w kilkunastu obozach przy granicy z Syrią, pozostali mieszkają w normalnych, wynajętych mieszkaniach w całej Turcji, w miejscach, na które dostali pozwolenia. Połowa spośród uchodźców to nieletni; wśród dorosłych jest lekka przewaga mężczyzn. Ilu jest uchodźców tak naprawdę nie wiadomo, bo rząd turecki nie pozwala UNHCR (Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw uchodźców), na weryfikację ich liczby. W 2018 UNHCR szacował, że jest ich 2,9 mln a nie 3,5 mln.

Zawyżanie liczby uchodźców przez rząd turecki miało być propagandowym atutem w stosunkach z krajami muzułmańskimi – „my najbardziej pomagamy Syryjczykom” – jak i w stosunkach z Unią Europejską – „potrzebujemy na to mnóstwo pieniędzy”. Podobnie działać miało podawanie sum, jakie rzekomo na uchodźców wydano – Erdogan twierdził, że jest to 37 mld euro. Tymczasem liczby te stały się podstawą do rozpowszechnionych w społeczeństwie tureckim plotek, że syryjscy uchodźcy dostają za darmo domy i stałe zasiłki, co jest nieprawdą.

Ile pieniędzy Turcja wydała na Syryjczyków też nie wiadomo, wiadomo natomiast, że Unia Europejska wydała na nich 6 mld

euro, zgodnie z zawartym w marcu 2016 porozumieniem o powstrzymaniu emigracji z Syrii. Pieniądze te nie przepływały jednak przez konta rządu tureckiego, lecz były przeznaczane bezpośrednio na pomoc dla uchodźców, między innymi na zasiłki dla rodzin posyłających dzieci do szkoły. Problem w tym, że te pieniądze przeznaczone były na trzy lata i najprawdopodobniej skończą się w ciągu najbliższych kilku miesięcy.

Co dalej będzie z syryjskimi uchodźcami w Turcji? Chociaż Erdogan powtarza, że kiedyś wróca do Syrii – ale nie mówi już o obaleniu syryjskiego prezydenta Assada, a rząd turecki twierdzi, że 300 tysięcy już wróciło (czego nie widać w jego statystykach) – to Syryjczycy nie kwapią się do powrotu. Wiele dzieci nauczyło się mówić po turecku i nie pamięta swojego kraju, ich rodzice żyją biednie, ale jednak w kraju nieporównanie bardziej demokratycznym i bezpieczniejszym niż Syria. Swoje nadzieje wiążą jednak z islamistycznym prezydentem, a nie świecką turecką opozycją, którą popiera Zachód, bo Erdogan na pewno nie zdecyduje się na przymusowe usuwanie ich z Turcji – to zniszczyłoby obraz, który stara się prezentować w świecie muzułmańskim, obraz „obrońcy muzułmanów” i nowego władcy, „sułtana”.

Jeśli niechęć tureckiego społeczeństwa do Syryjczyków będzie się nasilać – a podsycana pogarszającą się sytuacją gospodarczą i wystąpieniami opozycji na pewno będzie – to dla Erdogana wyjściem będzie dyskretne zachęcenie Syryjczyków do emigracji na Zachód, czyli powtórka roku 2015. Być może wcześniej będzie jednak chciał nowych pieniędzy od Zachodu, aby pokazać społeczeństwu, że utrzymanie imigrantów przestaje być problemem. Dla uniknięcia powtórki kryzysu imigracyjnego z 2015 Europa będzie gotowa dać Erdoganowi dowolne pieniądze i trudno liczyć na to, że prezydent Turcji ich nie zażąda. I tak będzie to lepsze dla Unii rozwiązanie, niż kolejne miliony syryjskich imigrantów.

Paradoksalnie, to islamistyczny prezydent Turcji a nie świecki, popierany przez Europę burmistrz Sztambułu, może być

dzisiaj sojusznikiem Europy w zapobieżeniu nowemu kryzysowi imigracyjnemu.

Na podstawie: [Syria Direct](#), [New York Times](#), [Reuters](#), [DW](#)

Erdogan i zagadka przegranych wyborów

Daniel Pipes

Bliski Wschód słusznie ma reputację miejsca, którego nie sposób zrozumieć, z jego pozornie nielogicznymi działaniami, które są tam normą.

Saudyjski książę porwał wizytującego premiera Libanu i zmusił go do podania się do dymisji, tylko po to, żeby zobaczyć, jak po powrocie do domu wraca na swoje stanowisko. A Autonomia Palestyńska w gniewie odmówiła wzięcia udziału w konferencji w Bahrajnie, gdzie mogłaby zyskać nawet 27 miliardów dolarów.

I pamiętajmy również o powtórnych wyborach na burmistrza w Stambule, które miały miejsce w niedzielę (23.06).

Pierwotne wybory odbyły się w marcu, ale kandydat cieszący się poparciem prezydenta Erdoğan przegrał minimalnie, o 0,16 procenta. Niezadowolony z tego rezultatu Erdoğan zrobił to, co zrobiłby każdy dyktator: nakazał unieważnić wybory ze względu na drobne nieścisłości, by chwilę potem ogłosić kolejne.

Można domniemywać, że polecił swoim podwładnym, żeby zajęli się tą kwestią i żeby za drugim razem jego kandydat wygrał – i to znacząco. Stało się jednak inaczej: kandydat AKP przegrał o 9,22 %, czyli prawie 60 razy więcej niż za pierwszym razem.

Na temat tego dramatu pojawiają się dwa pytania.

Po pierwsze, dlaczego Erdoğan na to pozwolił? Rządził jako absolutny dyktator przez około sześć lat, więc byłoby naturalne gdyby zależało mu na dużej wygranej. Kontroluje wojsko, policję, parlament, sądownictwo, banki, media i system edukacyjny. Robi co chce. Na przykład sfałszował wyniki wyborów w Stambule, anulując wcześniejszy rezultat. Buduje pałace i lotniska, gdziekolwiek zechce, nie licząc się z kosztami. Nakazuje bankowi centralnemu naliczanie takich stóp procentowych, które mu odpowiadają. Przeprowadził „kontrolowany zamach stanu”. Szuka gazu w wyłącznej strefie ekonomicznej sąsiadów lub narusza ich przestrzeń powietrzną.

Wspiera ISIS. Nie cofnie się przed wykorzystaniem bandytów do zastraszania swoich przeciwników. Nie cofnie się przed więzieniem, prześladowaniem i torturowaniem każdego, kto wejdzie mu w drogę w Turcji, w tym cudzoziemców. Uprawdza Turków z odległych krajów. Tworzy i lokuje w terenie własną, prywatną armię.

Biorąc pod uwagę, jak wielką ma władzę, dlaczego zezwolił na wolne wybory w Stambule i nie manipulował ich wynikami? Dyktatorzy zazwyczaj nie pozwalają swoim wrogom wygrać wyborów w najważniejszym mieście w kraju, tym bardziej, że Erdoğan nazwał walkę o Stambuł kwestią „przetrwania narodu” i oznajmił: „Jeśli potkniemy się w Stambule, stracimy równowagę w Turcji”.

Z perspektywy czasu wybory w Stambule będą postrzegane (...) jako niewielka przerwa w dążeniu tego kraju ku upadkowi. Osobliwości wyborów w Stambule wpisują się w szerszy kontekst tego, co nazwałem „zagadką Erdoğan”. Raz po raz turecki prezydent podejmuje nielogiczne lub samobójcze kroki: stworzył potężnego wroga, wypowiadając w 2013 r. wojnę polityczną Fethullahowi Gülenowi, swojemu długoletniemu islamistycznemu towarzyszowi broni.

Porzucił walkę o ruch bezwizowy dla Turków do Unii Europejskiej, co jest bardzo ważnym celem – on jednak wolał się trzymać bezsensownego legalizmu. Zapłacił wysoką cenę polityczną, aby wygrać referendum w 2017 roku, zmieniając konstytucję, którą od lat ignorował.

Zatopił turecką walutę w 2018 r., ponieważ wierzy, że wysokie stopy procentowe prowadzą do wysokiej inflacji i wnioskuje z tego, że „wysokie stopy procentowe są źródłem wszelkiego zła”.

Ostatecznie nie przekonują mnie możliwe wyjaśnienia, jakie przychodzą mi do głowy, tłumaczące upokarzającą porażkę – ani takie, że wola Erdoğan słaźnie, ani że w sekrecie ma jakiś plan, ani że chce wrócić do demokracji – wszystko to uważam za mało prawdopodobne.

Drugie pytanie brzmi: dlaczego nikt oprócz mnie nie jest zaskoczony tą sytuacją? Każdy analityk, którego opinie czytam, traktuje funkcjonowanie demokracji w Turcji całkowicie normalnie, ignorując fakt, że krajem rządzi despota. Nagłówki mówią o „ogromnej zmianie”, „ostatecznym ciosie” i „katastrofalnej stracie”, zakładając, że Erdoğan zaakceptuje swoją przegraną. Dla nich wybory w Stambule rozpoczynają nową erę w Turcji.

Nie dla mnie. Uważam to za anomalię, którą będzie trzeba naprawić. W związku z tym przewiduję, że tyraniczne zacięcie Erdoğan, będące obecnie nie wiedzieć czemu w remisji, wkrótce pojawi się ponownie. I wtedy odzyska on kontrolę nad Stambułem.

Może znowu odwołać się do kwestii technicznych albo tym razem oskarżyć burmistrza o powiązania z Gülenem i „terroryzmem”. Niezależnie od tego, na jaki powód się powoła, efekt będzie taki sam: potwierdzenie najwyższej władzy autokraty nad całym krajem.

Z perspektywy czasu wybory w Stambule będą postrzegane jako wyjątek na ścieżce Erdoğan ku władzy absolutnej. Zostaną

zapamiętane nie jako znacząca zmiana, ostateczny cios, czy katastrofalna strata [dla dyktatora], ale jako niewielka przerwa w dążeniu tego kraju ku upadkowi.

Tłum. GB na podstawie: <http://www.danielpipes.org>

Rząd chce kontrolować imigrację, a czego chcą pracodawcy?

Jan Wójcik

„Rzeczpospolita” dotarła do przygotowywanego przez MSWiA „projektu polityki migracyjnej państwa z wytycznymi dla administracji dotyczącymi decyzji o tym, kto może liczyć na stały pobyt czy obywatelstwo”.

Z artykułu Mateusza Rzemka w „Rzeczpospolitej”, „Cudzoziemcy: Rząd woli nakładać opłaty na bezdzielnych, niż zatrudniać imigrantów”, wynika, że zapisy dokumentu budzą niepokój pracodawców. Autor krytykuje to, że rząd nie chce otworzyć rynku na imigrantów, lecz stawia na włączanie bezrobotnych i osób powyżej 50 roku życia do rynku pracy. Informację o planowanym wprowadzeniu podatku dla osób bezdzielnych zdementowała minister Witek. Warto więc przyjrzeć się tej krytyce. Jakiej Polski chcieliby pracodawcy i czy to jedyna istotna perspektywa?

Demografia a masowa imigracja

Po pierwsze, należy zwrócić uwagę, że postulaty pracodawców dotyczące ściągania na stałe imigrantów, dla uzupełnienia

rezew demograficznych nie są nowe. I także ich realizacja okazywała się nieskuteczna. Nie wiadomo, na ile na decyzję kanclerz Angeli Merkel o otwarciu granic w 2015 roku wpłynęły naciski lobby pracodawców, którzy alarmowali, że rynek [pracowników kurczy się](#).

Na poziomie unijnym wiemy, do czego to doprowadziło. Do coraz większych napięć między państwami i zanegowania wiarygodności polityki określonej w porozumieniach dublińskich. Był to też jeden z elementów zdobywania zwolenników Brexitu oraz paliwo dla partii populistycznych na całym kontynencie.

A czy pomogło to niemieckiemu rynkowi pracy? Niestety nie. Przede wszystkim w dłuższym okresie imigracja nie jest rozwiązaniem problemów [starzejącego się rynku](#). To samo w 2016 roku stwierdził już [Federalny Urząd Statystyczny Niemiec](#). W krótkim okresie ta masowa imigracja także nie przyniosła poprawy. Według raportu BAMF (Federalny Urząd do spraw Migracji i Uchodźców) w październiku 2018 roku, trzy lata po przyjęciu uchodźców., 65% z nich [pozostawało bez pracy](#). Z miliona, którzy mieli zasilić niemiecki rynek pracy, około 400 tysięcy pracuje lub przygotowuje się do podjęcia pracy. To są informacje [pochodzące od optymistów](#). Fundacja Bertelsmanna postuluje szukanie 260 tysięcy wysoko wykwalifikowanych imigrantów rocznie. Skąd ich wziąć? A problem będzie dotyczył także Polski, w miarę rozwoju gospodarczego i technologicznego.

Czy tańsze finansowo i społecznie jest sprowadzenie z rodzinami osób kulturowo obcych i ich niepewna integracja, czy aktywizacja zawodowa rodzimego kapitału społecznego?

To oczywiście jednak, że imigracja do Polski nie jest imigracją uchodźczą, lecz zarobkową, więc są to też inne wzorce, jednakże dane dotyczące sprowadzania na stałe imigrantów też nie są optymistyczne. Pisze o tym Grzegorz Lindenberg w książce „Wzbierająca fala. Europa wobec eksplozji demograficznej w Afryce”. Przede wszystkim z danych cytowanych przez Lindenbergę wynika dużo niższy poziom zatrudnienia

imigrantów, niż rdzennych obywateli – a co za tym idzie większe obciążenie dla państwa. To sytuacja bieżąca, ale jesteśmy u progu skoku technologicznego i według danych OECD przytoczonych w książce, do połowy lat 30. nastąpi automatyzacja 50% prac (w Polsce 33%), tak więc pracy [będzie jeszcze mniej.](#)

Imigracja cyrkulacyjna i aktywizacja zawodowa

Kolejnym zarzutem Rzemka jest to, że według projektu Polska ma nastawić się na imigrację krótkoterminową, cyrkulacyjną. To nie jest nowość w świecie Zachodu. W ten sposób radzi sobie chociażby Izrael, którego rynek pracy, podobnie jak w Polsce, kurczy się. Izrael ściąga ludzi do pracy na krótki okres, po to, żeby reagować też na cykle koniunktury. Wprowadza się tam takie na przykład środki, jak odkładanie przed przedsiębiorcą 20% wynagrodzenia pracownika imigranta, które ten będzie mógł odebrać dopiero po wyjeździe z kraju.

Idąc dalej, problemem, zupełnie niezrozumiałym moim zdaniem, podnoszonym przez „Rzeczpospolitą” jest zarzut, że rząd chce aktywizacji zawodowej osób bezrobotnych i osób powyżej 50 lat, zamiast ściągnięcia imigrantów. To bardzo istotny kierunek w polskiej gospodarce, której wskaźnik aktywności zawodowej – dotyczący osób w wieku produkcyjnym, które jednak nie podejmują pracy – jest poniżej średniej unijnej. Lider, Szwecja, ma go na poziomie 82% , [Polska o 10% niżej.](#) To różnica ponad dwóch milionów osób. Pytanie, czy tańsze finansowo i społecznie jest sprowadzenie z rodzinami osób kulturowo obcych i ich integracja, czy aktywizacja zawodowa rodzimego kapitału społecznego?

Spójność społeczna

Rzemek wypunktowuje na samym początku zawarte w projekcie założenie, że wśród Polaków, jednolitych narodowościowo

„potrzeba zrozumienia i akceptacji cudzoziemców występuje w ograniczonym zakresie”. Potwierdzają to jednak liczne sondaże na temat stosunku Polaków do cudzoziemców i warto zapoznać się z nimi, zanim zacznie się tworzyć politykę migracyjną, która ma służyć nie tylko gospodarce, ale i społeczeństwu. W tym obszarze można znaleźć odpowiedzi, jakie problemy w kwestii integracji cudzoziemców mogą nastąpić ze strony polskich obywateli.

Z drugiej strony należałoby zapoznać się z badaniami wartości wyznawanych przez kraje, z których także rząd PiS chciał ściągać imigrantów. Wiele mówiło się o projekcie sprowadzania ich z Uzbekistanu, który zainicjowała senator Maria Anna Anders. Niestety, mniej było wiadomo o jakichkolwiek badaniach postaw Uzbeków, które mogłyby świadczyć o zdolności integracji w przypadku pozostania na stałe w Polsce. Połowa Uzbeków uważa islam i chrześcijaństwo za różne religie i tylko 11% komfortowo przyjęłoby ślub córki z chrześcijaninem. 81% uważa, że zachodnia rozrywka niszczy moralność – gorzej jest już tylko w [Pakistanie](#).

Możliwe, że projekt rządowy zbyt wąsko definiuje grupę imigrantów z krajów bliskich kulturowo, ale być może z powodów prawnych inaczej tego nie można zapisać. Nie ma na przykład większych problemów z integracją Wietnamczyków. Na Zachodzie nikt nie słyszał o hinduskim radykalizmie. W Hiszpanii prawdopodobnie świetnie integrują się mieszkańcy krajów latynoamerykańskich.

Walka o zagranicznego inwestora

Konfederacja pracodawców Lewiatan, cytowana w artykule, uważa, że brak jest strategii na najbliższe lata. Ich zdaniem, jeżeli nie zapewnimy sobie siły roboczej, to przegramy konkurencję o inwestorów zagranicznych z Czechami i Niemcami. Z alarmistycznego tonu artykułu i wymienionych w nim – prawdopodobnie tylko niektórych – założeń rządowego projektu można domniemywać, jakiej polityki migracyjnej chcieliby

pracodawcy. A mianowicie, otwartego przyjmowania na stałe, skądkolwiek, niskopłatnych imigrantów, byleby tylko zapewniono siłę roboczą w bitwie o inwestora.

Oznaczałoby to więc pogorszenie rynku pracownika dla obywateli polskich, zaniechanie podnoszenia poziomu aktywizacji zawodowej, czy podnoszenia wydajności pracy innymi metodami, niż sprowadzanie tanich robotników, którzy będą gnieździć się po kilkanaście osób w wynajętych mieszkaniach. Wreszcie, otwarcie się na masową imigrację oznaczałoby podobne problemy, jakie występują na Zachodzie Europy z integracją przybyszów w społeczeństwie.

Można i tak, ale uczciwie będzie wprost to zakomunikować społeczeństwu, bo obawiam się, że taki projekt społeczeństwo odrzuci, a interes pracodawców nie jest jedynym, który w tym obszarze należy uwzględnić.

Ideolodzy i bojówkarze dżihadyzmu – Mułła Mohammad Omar

Sławosz Grześkowiak

Przywódcą Talibów i założyciel efemerycznego, rządzącego się szariackim prawem Islamskiego Emiratu Afganistanu. Zasłynął między innymi ze zburzenia gigantycznych, kamiennych postaci Buddy z VI wieku, ukrywania Osamy bin Ladena, a także z niezwykle rygorystycznych reguł w państwie, w tym zakazu puszczania latawców.

Talibowie pojawili się na politycznej scenie w 1994 roku,

poniekąd jako skutek nieustabilizowanej sytuacji Afganistanu po wycofaniu się pięć lat wcześniej sowieckich wojsk oraz upadku komunistycznego reżimu Nadżibullaha w 1992 r. Krajem formalnie zarządzał w tym czasie prezydent Burhanuddin Rabbani, muzułmanin z organizacji Stowarzyszenia Muzułmańskiego, jednak nie miał on odpowiedniej siły ani charyzmy, by zjednoczyć pod swoim sztandarem całe państwo. W opozycji do jego rządu powstawały liczne islamistyczne ugrupowania, z których jedno utworzyło się wokół weterana walk z Sowietami, mułły Muhammada Omara.

Urodził się pomiędzy 1950 a 1962 rokiem. Podobnie niejasne, jak data, jest miejsce jego urodzenia. Pewne jest, że Omar pochodził z biednej, wiejskiej i konserwatywnej rodziny pasztuńskiej, z plemienia Hotaki – odgałęzienia większego, o nazwie Ghilzai (w 18 w. były to dynastie, rządzące Afganistanem). Jego ojciec, Mawlawi Ghulam Nabi miał być miejscowym przywódcą religijnym, jednak bez jakichkolwiek wpływów, a już na pewno bez politycznych więzi z władzami pobliskiego Kandaharu, czy tym bardziej odległego Kabulu. Zmarł, kiedy Omar miał trzy lata. Wychowaniem zajęli się wtedy jego wujowie. Jeden z nich postanowił ożenić się z matką Omara i wszyscy przenieśli się do wioski Dehwanawark w pobliżu miasta Deh Rawod, gdzie wuj pracował jako religijny nauczyciel.

Rodzinny fach przeszedł później na samego Omara. Zanim się to stało, w 1979, po Rewolucji Sauryjskiej, udał się do Karaczi w Pakistanie, gdzie rozpoczął studia na sunnickiej, ortodoksyjnej uczelni Jamia Uloom-ul-Islamia. Powrócił do Afganistanu w 1982 r. gdzie w wiosce Singesar, blisko Kandaharu, w skromnej chacie, już jako mułła założył swoją madrasę, czyli koraniczną szkołę. Jako, że w kraju toczyła się wojna z Sowietami, Omar szybko przyłączył się do mudżahedinów. Mówiono, że w walkach sprawdził się jako strzelec wyborowy i na swoim koncie miał mnóstwo trafionych sowieckich czołgów. W ciągu wielu lat batalii raniono go cztery razy. Podczas jednej

z potyczek, na skutek uderzenia odłamkiem stracił prawe oko. Legenda Talibów głosi, że nieustraszony Omar otarł twarz ręką i walczył dalej.

Mułła Mohammad Omar był postacią dość nieodgadnioną. Niewiele mówił, prawie w ogóle nie udzielał wywiadów. Rzadko opuszczał rejon Kandaharu. Nie dawał się fotografować, stąd znane są tylko jego dwa ujęcia i nie ma żadnego nagrania wideo. Łatwo jednak było go zidentyfikować. Mroczności wizerunku przydawała mu przymknięta powieka pustego oczodołu.

Kiedy nastał posowiecki chaos, Omar w bliżej nieokreślonym czasie powrócił do religijnego nauczania. Jednocześnie, w latach 1989 – 1992 wspólnie z mudżahedinami z Hizb-e Islami Afghanistan (Islamskiej Partii Afganistanu) walczył przeciwko rządowi Mohammada Nadżibullaha. Według kolejnej z legend w roku 1994 miał sen, w którym nieznaną kobietą wypowiedziała następujące słowa: „Potrzebujemy twojej pomocy. Musisz powstać. Musisz zakończyć ten chaos. Allah tobie pomoże”. Wraz z około pięćdziesiątką uzbrojonych uczniów swojej pasztuńskiej madrasy, niedaleko granicy z Pakistanem utworzył ruch tzw. Talibów, czyli uczniów szkoły koranicznej. Zewnętrznie rozpoznawano ich po jasnych pelerynach oraz czarnych turbanach.

Autorytet i charyzma Omara szybko ściągały kolejnych rekrutów z całego Afganistanu. Przyświecały im cele religijne oraz polityczne, co w islamie jest ze sobą nierozdzielalne. Wszechobecna korupcja oraz samowola i bezprawie wojennych watażków rodziły w Talibach poczucie niesprawiedliwości. Tym, co szczególnie oburzało ich w upadku moralności, były gwałty dokonywane na małych dziewczynkach oraz chłopcach. Pozbawieni skrupułów wojskowi dowódcy praktykowali tamtejszy zwyczaj *bacha bazi*, czyli seksualnego napastowania małych dzieci.

Poruszony Omar ruszył do działania na początku 1994 r. Wraz z 30 swoimi ludźmi, uwolnił trzy dziewczynki, a ich oprawców powiesił na lufach starych czołgów. W podobnych akcjach

uwalniano kolejne ofiary, a sława moralnej i islamskiej odnowy owładnęła kraj i do listopada 1994 liczba Talibów wzrosła do 12 tysięcy. Omar zajął całą prowincję Kandahar, a do września kolejnego roku również Herat. Jednak ze względu na skromność źródeł ścisła chronologia przejmowania kraju nie jest łatwa do odtworzenia. Pewne jest, że stolicę, Kabul zajął we wrześniu 1996, a terenem nigdy przez niego nie przejętym był północno-wschodni narożnik kraju, przy granicy z Tadżykistanem.

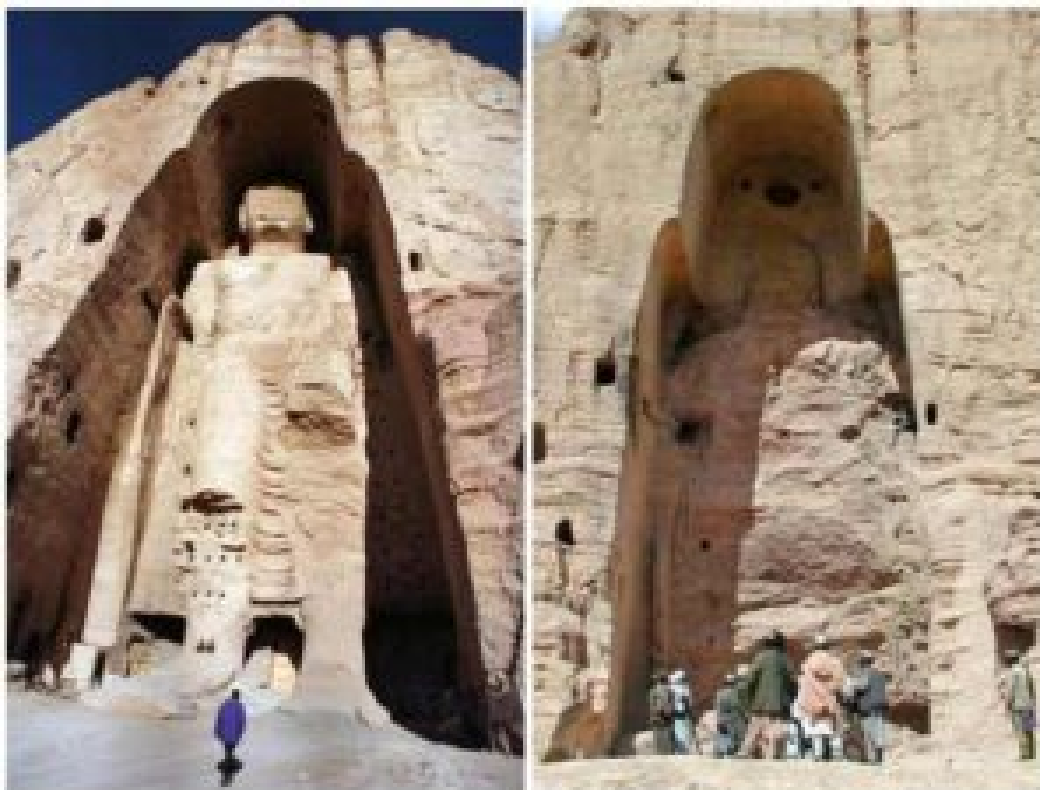
4 kwietnia 1996 r., w obecności tłumów mułła Mohammad Omar, na wzór Mahometa, w teatralnym geście zakręcił nad sobą długą, jasną dżalabiję i narzucił ją na ramiona. Symbolizm był uderzający. Przyjął tytuł nadany mu przez radę 1500 ulemów z całego kraju – Amir al-Muminin, czyli Wódz Wiernych. (Podobny tytuł przyjął potem Abu Bakr al-Bagdadi). W aurze mistyki mułła Mohammad Omar stanął na czele państwa nazwanego Islamskim Emiratem Afganistanu. Uznały go tylko trzy kraje: Pakistan, Arabia Saudyjska oraz Zjednoczone Emiraty Arabskie.

Niewiele można powiedzieć o strukturach oraz ośrodkach decyzyjnych tego emiratu. Podobnie jak tajemniczy Omar, były utajnione. Jego przywódcy nie dbali o zewnętrzne opinie, nie informowali o swoich planach, sukcesach czy porażkach. Nie wydawali też żadnych oświadczeń. Mimo to wiadomo, że, przynajmniej początkowo ich organizacja miała hierarchiczny charakter, a na jej czele stało ścisłe kierownictwo, składające się z pięciu duchownych. Należeli do niego mułłowie: Mohammad Rabbani, Ihsanullah, Abbas, Mohammad oraz Pasanaj.

Talibańska misja upowszechniania sprawiedliwości dokonywała się w duchu rygorystycznych koranicznych zasad. Stadiony, na których nie wolno już było rozgrywać meczów piłki nożnej zamieniły się w areny krwawych widowisk. Spędzano tam Afgańczyków, każąc im oglądać obcinanie kończyn, kamienowanie, biczowanie oraz egzekucje w ramach kar za łamanie reguł moralności. Zwolennicy talibańskiego państwa uważali, że powróciło ono do pełnych chwały czasów islamu z VII wieku i

realizuje wizję kalifatu z prawdziwie czystą religią. Zakazane było słuchanie muzyki, oglądanie telewizji, palenie papierosów, picie alkoholu, a także puszczanie latawców. Kobiety poddane zostały surowym rygorom, takim jak obowiązek noszenia burki z siateczką zakrywającą oczy, zakaz wychodzenia z domu bez męskiego opiekuna, zakaz pracy, czy rozmawiania z obcymi.

Talibowie zasłynęli z jednego z największych aktów wandalizmu. W marcu 2001 roku, ogniem artyleryjskim oraz materiałami wybuchowymi wysadzili w powietrze starożytne, pochodzące z VI wieku wizerunki Buddy. Znajdowały się w środkowym Afganistanie, w prowincji Bamian. Największy miał wysokość 53 m. Ich istnienie kłóciło się z dogmatami islamu, mówiącymi o zakazie stawiania podobizn ludzkich, ale co jeszcze ważniejsze, symboli innych religii. Odpowiedzialny za to barbarzyństwo mułła Mohammad Omar tak wyjaśniał swój czyn: „Allah zada mi pytanie: Omarze, rzuciłeś na kolana supermocarstwo Związek Sowiecki. A nie mogłeś zniszczyć dwóch posągów? I co miałyby wtedy mułła Omar odpowiedzieć?”.



Posąg Buddy z Bamian, przed i po zniszczeniu

Zanim doszło do tego zdarzenia, zwrócono się do Omara z zagranicy z prośbą o umożliwienie dokonania renowacji posągów, ponieważ spływająca woda powodowała erozję niektórych elementów. Miała to być dla niego bezpośrednia przyczyna podjęcia decyzji o zniszczeniu figur. Jak twierdził, nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może myśleć o naprawie jakichś starych kamieni, podczas gdy dookoła biedni i głodni potrzebują pomocy.

Zgorszenie zewnętrznego świata budziło nie tylko zdevastowanie kulturowego dziedzictwa, lecz także niezgoda na wydanie największego terrorysty tamtych czasów. Osama bin Laden od lat chronił się w Afganistanie, a po 11 września 2001 r., kiedy dokonał największego ze swoich zamachów, Omar odrzucił prośby o przekazanie jego oraz innych liderów Al-Kaidy Stanom Zjednoczonym. Utrzymywał, że jego pasztuńska tradycja nakazuje okazywać gościnność przybyłym. W rezultacie kilka tygodni później, od 7 października, Afgańczycy musieli zacząć przyjmować nowych gości – tysiące amerykańskich oraz brytyjskich żołnierzy.

Trudno stwierdzić, czy mułła Omar zdawał sobie sprawę z konsekwencji swojej odmowy. Badacze, którzy analizowali jego życie, uważali, że był on prostym człowiekiem z małą znajomością świata. Wystarczyła mu ona jednak, żeby wiedzieć dokąd uciekać, gdy nadeszła inwazja. Widziano go podobno pędzącego motocyklem na południe, w kierunku pakistańskiego miasta Kweta. Islamski Emirat Afganistanu upadł, choć Talibowie przetrwali.

Przez długie lata miejsce przebywania mułły Omara było wyłącznie kwestią domysłów. Miał mieszkać w Karaczi pod ochroną pakistańskich służb specjalnych. Mógł też żyć gdzieś w samym Afganistanie, nawet w pobliżu amerykańskich baz. W roku 2015 ogłoszono śmierć Omara. Miała go dopaść dwa lata wcześniej, w roku 2013. Jego następcą został mułła Achtar Mansur.

Sławosz Grzeńkowiak – historyk, filolog angielski oraz absolwent Studium Literacko-Artystycznego UJ. Interesuje się islamem oraz terroryzmem islamskim.